

MISCELLANEA — PRZEDRUKI Z DAWNEJ „ZIEMI”

Z zagadnień przyrody

Pomniki przyrody żywej

(„Ziemia” 1910, nr 13 i 14)

*Rówienniki litewskich wielkich kniaziów, drzewa Białowieży, Świtezi, Ponar, Kuszelewa!..
Których cień spadał niegdyś na koronne głowy
Groźnego Witenesa, wielkiego Mindowy...
Knieje! do was ostatni przyjeżdżał na łowy,
Ostatni król, co nosił kółpak Witoldowy,
Ostatni z Jagiellonów wojownik szczęśliwy
I ostatni na Litwie monarcha myśliwy.*

Temi słowy wyraził Mickiewicz uczucia, jakie wzbudzały w nim stare drzewa dawnych lasów, dochowane szczątki puszczy odwiecznych, rówieśniki i nieme, a jednak wymowne świadki bezpowrotnie minionej przeszłości.

Takież samo uczucie ogarnia i dziś każdego, kto ujrzy pradiadowskie pamiątkowe drzewo, kto wejdzie w głąb starego lasu, co już na setki lat liczy swoje istnienie. Ile to wspomnień staje wówczas przed oczami, jakie sceny wywołuje wyobraźnia z mgły przeszłości, jaka nić się nawiązuje między tem, co jest, a co było! A jak znikomemi wydają się sprawy ludzkie, drobne troski i kłopoty życia codziennego, zestawione ze spokojem i trwałością tych długowiecznych olbrzymów leśnych, z całym życiem prastarego lasu, którego początek sięga czasów przedziejowych, który przetrwał tyle pokoleń ludzkich, był świadkiem tylu zmian w kraju... i w samym sobie zarazem.

Kurczył się on i małał, „pożerany kupiecką lub rządowną... siekierą”, zmieniał się z każdym wiekiem, ba! nawet z każdym rokiem, aż wreszcie pozostały po nim tylko szczątki, które zobaczyć można jeszcze

tylko tu i ówdzie w kraju, jakby po to, by nabrać jakiego takiego pojęcia o dawnym jego wyglądzie.

I nie tylko przemijały ludzkie pokolenia, nie tylko w biegu dziejowym znikaly całe narody, jak Jadźwingowie lub Prusowie, którzy przez gaszące dawnych lasów kierowali napady na Polskę; znikaly też dawne rośliny i dawne zwierzęta. Że drzewo olbrzymie i stare, chociażby nawet zdołało przeżyć tysiąc albo i dwa tysiące lat, musi wreszcie zginąć, nie dziwi to nikogo, boć

Wszystko żywe musi leżeć

Pod ręką, która zna czy kres.

Dotyczy to jednak także i całych gatunków: na próżno byśmy szukali dzisiaj niejednej rośliny, która dawniej była bardzo pospolita wszędzie, nie ma jej już bowiem obecnie wcale, albo przynajmniej stała się bardzo rzadka, znajduje się w stanie zanikania, wymierania.

Nie wdając się w przykłady różnych drobniejszych roślin, rozmaitych ziół rzadkich, wspomniemy tu jedynie o drzewach, jako dostarczających bardziej jaskrawych przykładów. Posiadaliśmy kiedyś ogromne i prześliczne lasy modrzewiowe, a modrzew, jako materiał nadzwyczaj trwały, był pospolitym budulcem, zwłaszcza na kościoły i dwory szlacheckie. Stare kościoły modrzewiowe można jeszcze zobaczyć tu i ówdzie, ale lasów modrzewiowych nie ma dziś prawie nigdzie i w ogóle w lasach drzewo to stało się od dawna bardzo rzadkiem.

Jeszcze rzadszy jest cis, który również tworzył niegdyś zwarte lasy, jako niezbyt wysokie, ale piękne

drzewo. A dziś trzeba się z nimi zaskazać, zanim uda się go znaleźć i nie ma on już przeważnie postaci drzewa, lecz dużego krzaka, będącego zaledwie marnym cieniem dawnych okazałych cisów.

Nie lepiej, a może jeszcze gorzej dzieje się ze zwierzętami. Tu znajdziemy znacznie więcej nadzwyczaj jaskrawych i powszechnie znanych przykładów: od 300 lat znikły z naszych lasów bez śladu tury, a żubry trzymają się w nielicznych szczątkach, jedynie dzięki ochronie prawnej; nie ma dziś nigdzie soboli, choć mówi o nich powszechnie znana piosenka myśliwska *Pojedziemy na łów* i choć według Kluka jeszcze w XVIII w. miały one znajdować się na Litwie; nie ma również ani śladu po jedynej europejskiej antylopie stepowej — suhaku czyli sumaku (*Antilope saiga*), która jeszcze przed 200 laty znajdowała się na stepach Ukrainy i której wzmiankę poświęcił Słowacki w poemacie *Žmija*, opisując łowy kozackie w stepach.

I oto śmiga

— *Sumak zbudzony;*

Ledwo kopytem

Dotyka trawy,

Charty wyściga,

I przez zagony,

Przed szybką smyczą,

Sadzi przez doły;

Gończe skowyczą,

Kraczą sokoly.

A czyż do zwierząt prawie zaginionych nie trzeba zaliczyć bobrów? Czyż kozice i świstaki nie istnieją dziś jedynie dzięki surowej ochronie i zakazowi polowań?

A poza tem, ileż to zwierząt utrzymuje się u nas jedynie w bardzo skąpej liczbie i w niektórych tylko okolicach, gdy niegdyś spotkać je można było w każdym lesie: niedźwiedzie, wilki, gronostaje, rysie, żbiki, łosie, jelenie, głuszce, orły, sokoly — to żyjący jeszcze świadkowie naszej fauny sprzed niezbyt dawnych czasów, ale świadkowie na wymarciu, nie znajdujący dziś dla siebie odpowiednich warunków istnienia i dla tego utrzymujący się jedynie w niektórych zakątkach kraju.

Wiele przyczyn składało się na to wymieranie rozmaitych roślin i zwierząt: wszystko co żyje, ma swój kres; śmierć jest losem zarówno oddzielnych zwierząt i roślin jak i całych gatunków, giną więc one bezustannie wśród ciągłej walki o byt, jaka panuje między wszystkimi ożywionymi tworam, ustępując miejsca jedne drugim. Naturalny to bieg rzeczy, zwykły objaw gospodarki przyrody.

Tylko, że w danych wypadkach zwierzęta i rośliny nie uległy we wzajemnej walce z własnymi współbraćmi, ale w wojnie, jaką im wypowiedział człowiek. Bez wmiśzania się człowieka walka ta przybrałaby inny charakter, przebieg jej poszedłby w innym kierunku i inny nadałby wygląd całemu krajowi.

Ta walka z człowiekiem stanowi naturalnie tylko szczególny wypadek ogólnej walki o byt, będącej podstawą gospodarki przyrody. Ważnem jest jednak zdanie sobie wyraźnie sprawy z tego: skoro bowiem

człowiek jest głównym sprawcą wymierania rozmaitych gatunków roślin i zwierząt, człowiek też przez zmianę w sposobie swej działalności może to znikanie znacznie zmniejszyć, a nawet powstrzymać je zupełnie.

Niszczycielska ta działalność człowieka objawiła się i objawia się ciągle w sposób rozmaity.

Na pierwszym miejscu należy postawić trzebieenie lasów i obracanie coraz to większych obszarów pod pola. Niegdyś cały nasz kraj przedstawiał jedną odwieczną puszcze; człowiek wrąbywał się w nią, wycinał drzewa i karczował ziemię, oczyszczając sobie miejsca najpierw na samo mieszkanie, a potem i pod rolę. W miarę zwiększania się ludności, padały pod siekiere coraz to nowe drzewa, obnażały się coraz to nowe części puszczy, aż wreszcie znikła ona zupełnie, pozostawiając po sobie jedynie mniejsze lub większe lasy, jako szczątki dawnej szaty drzewnej kraju.*

Trzebieenie to, robione bez oglądania się w przyszłość, stało się przyczyną zniknięcia nie tylko starych olbrzymich drzew, ale w ogóle zmniejszenia się ich liczby, zanikania gatunków, które do swego istnienia potrzebowały większych obszarów, albo też wzrastały zbyt powolnie, powolniej, niż je wyniszczano. Nie mogły one wskutek tego zapelnąć szczerb, jakie robiła siekiera w ich szeregach, znikaly więc z powierzchni kraju, z jednych jego okolic zupełnie, z innych częściowo i ostatecznie stały się do pewnego stopnia rodzajem białych kruków.

Trzebieenie lasów pociągnęło za sobą pośrednio taki sam skutek i dla zwierząt. Zmniejszyła się bowiem liczba kryjówek, niedostępnych gąszczów, miejsc na gniazda; ubyłoby pożywienia dla gatunków roślinożernych, a gdy wskutek tego zmniejszyła się ich liczba i mięsożerne znalazły się również w gorszym położeniu. Znikły więc przede wszystkim zwierzęta większe, jak tury, żubry, niedźwiedzie, którym zmniejszone lasy nie mogły już dać dostatecznych warunków do życia, ale znikł też doszczętnie lub prawie doszczętnie i niejedyn mniejszy gatunek.

Dobre pojęcie o zmianach w faunie, jakie wywołuje wytrzebieenie lasów, może dać następujący przykład, zaczerpnięty wprawdzie nie z naszego kraju, tem niemniej jednak bardzo pouczający, zmiany te bowiem i u nas odbywają się w podobny sposób.

Mianowicie prof. Karol Sajó podaje, iż w zamieszkanej przez niego miejscowości na Węgrzech, wskutek wycięcia dębowych lasów z jednej strony, a przeorania obszernych pastwisk z drugiej, w ciągu ostatnich 30 lat znikło bez śladu przeszło 200 gatunków owadów, a około 300, dawniej bardzo pospolitych, dziś należy do niezmiernie rzadkich. Przykład wielce

* Nie wszystkie autorytety naukowe (zarówno dawne jak i współczesne) potwierdzają tę tezę. Istnieje również odwrotność: że już w czasach prehistorycznych niecały kraj Polan, Wiślan itd. pokryty był nieprzebytą puszcza. Zob. choćby u Władysława Semkowicza w przedrukowanym w tym tomie artykule „Rola czynników geograficznych w rozwoju dziejowym Polski” (ss. 159, odpowiedni passus: s. 162 (Red.) (241 w pierwodruku).

pouczający, szczególnie, iż dotyczy zwierząt drobnych, których brak lub obecność zazwyczaj nie rzuca się tak bardzo w oczy.

Podobny wpływ wywiera osuszanie błot i bagien, w ogóle drenowanie jakiejś okolicy. Znikają z niej wówczas wszystkie błotne rośliny, jak również i zwierzęta, których istnienie związane jest z wodą i większą obfitością wilgoci. Zmienia się wskutek tego charakter całej okolicy, jej szata roślinna, — i to rzuca się od razu w oczy; zniknięcia jednak poszczególnych gatunków, zwłaszcza drobniejszych, nikt częstokroć nie zdola nawet zauważyć.

W ogóle postępy cywilizacji, wznoszenie się jakiegoś kraju na wyższy poziom kultury, podniesienie się techniki, powiększenie się przemysłu i handlu, ulepszenia w rolnictwie — wszystko to działa niszcząco na faunę i florę, wszystko to tępi dzięki gatunki roślin i zwierząt, wprowadzając na ich miejsce swoje i uprawne, albo nie wprowadzając żadnych zgoła.

Wszystkie te udoskonalenia związane są ściśle z postęпами nauk przyrodniczych, toteż jakiś pesymista, widząc ten ujemny wpływ cywilizacji na naturę, wygłosił melancholijny paradoks, że „rozwój nauk przyrodniczych wpływa niszcząco na samą przyrodę, którą człowiek tępi tem lepiej, im poznaje ją dokładniej”.

Paradoks ten jednak, jak wszystkie zresztą paradoksy, wyświeśla tylko jedną stronę kwestyi, drugiej zaś nie porusza wcale, i stąd jego fałszywość. Bo przede wszystkim przyczyną zniszczenia zabytków przyrody w jakiejś miejscowości są nie tyle same udoskonalenia techniczne, ile, z jednej strony, przeludnienie, konieczność pomieszczenia na tej samej przestrzeni większej liczby ludzi, którym zwierzęta i rośliny muszą ustąpić miejsca, z drugiej zaś — właśnie nieznaną przyrodę.

Rośliny bowiem i zwierzęta w walce z człowiekiem ginęłyby mniej licznie i w sposób nie tak barbarzyński, gdyby znajomość nauk przyrodniczych stała wyżej, gdyby ludzie znali przyrodę naprawdę, umieli patrzeć na nią, odczuwać ją, rozumieć i szanować. Nie rozwój więc i postęp nauk przyrodniczych, ale właśnie ich zastój i nieznaną są przyczyną tępienia i niszczenia zabytków przyrody.

Karczowanie lasów, obracanie nieużytków na rolę nie niszczyłyby tak doszczętnie fauny i flory, gdyby ludzie robili to z rozwagą i zastanowieniem, gdyby niszczyli tylko to, co z konieczności muszą zniszczyć. Rąbanie lasów, tępienie szkodliwych zwierząt, zasiewanie nieużytków — wszystko to są rzeczy nieodzowne i ludzie ani nie mogą, ani nie mają powodu zaniechania tego wszystkiego; mają jednak obowiązek i powinni robić to w taki sposób, aby po barbarzyńsku i bezmyślnie nie niszczyć wszystkiego, co się nawinie, czy potrzeba, czy nie potrzeba. Bezmyślność nieraz zrzęda tu stokroć więcej szkód, niż wszystkie razem postępy techniki i zwiększanie się zaludnienia.

Wystarczy wspomnieć chociażby polowanie: powstało za pierwotnych czasów, z koniecznej potrzeby

zdobycia żywności i obrony przed dzikimi zwierzętami, przeszło następnie w rozrywkę, mającą jednak wielkie znaczenie, jako ćwiczenie siły i hartowanie, tak potrzebne w czasach ciągłych wojen, których widownią bywała Europa przez długie czasy. Przechowało się i do dzisiaj i choć już nie ma tego wojskiego znaczenia, choć zaspokaja nieraz jedynie atawistyczny popęd do mordowania, niezgodny już z duchem naszych czasów — mogłoby jednak ostać się i teraz, jako bądź co bądź zdrowa i hartująca rozrywka, dająca przy tem możność obcowania z przyrodą, ale pod tym koniecznym warunkiem, by myśliwi pamiętali zawsze i wszędzie o racjonalnym polowaniu, o trzymaniu się przynajmniej urzędowych przepisów, o zabijaniu z pewnym określonym celem, o zupełnym poszanowaniu gatunków rzadkich, ginących, o niestrzelaniu do każdego spotkanego stworzenia, do każdego ptaka, dostrzeżonego na gałęzi. O! tak sobie dla zabawki, dla wypróbowania oka, czy strzelby, dla wyćwiczenia się w celności.

Ile to razy strzelają tak młodzi zwłaszcza myśliwi, którzy niedawno dopiero dostali strzelbę do ręki i których pali chętka używania jej jak najczęściej: na zabitego dla wprawy ptaka ani nie spojrzą często i zostawiają go na ziemi w lesie, nie pomyślawszy nawet o osieroconem jego gnieździe z piskletami, o bezcelowo zniszczonem życiu, o krzywdzie, wyrządzonej nie tylko skrzydlatemu śpiewakowi, który padł ofiarą strzału, ale i całemu lasowi.

Klasycznego przykładu, jak szybko, bezmyślnie, rozbójnicze łowy mogą tępić jakiś gatunek, dostarczyły amerykańskie bizony, które znikły tak prędko w ciągu ostatnich 30 lat ubiegłego stulecia, że z olbrzymich stad, liczonych jeszcze w r. 1870 na kilka milionów sztuk, już w 1901 r. pozostało zaledwie 1000 okazów. Tam powodem tego orgii łowieckiej była chęć jak najszybszego wzbogacenia się, bez względu na to, iż w ten sposób bizony mogą wyginąć zupełnie.

Z takiego samego powodu zmniejszyły się ogromnie ilości wielorybów tak, że i o los tych olbrzymów świata zwierzęcego trzeba się już lekać, czy wkrótce nie znikną one zupełnie, jak przed stu przeszło laty głośna krowa morska (*Rhytina Stelleri*), ogromny (7 metrów długości) ssak z działy dwupłetwoców roślinonożnych, albo jak ciekawa alka bezlotna (*Alca immennis*), której ostatni okaz zabito na brzegach Islandyi w roku 1844.

Smutna jest dola naszych ptaków śpiewających w czasie ich wędrówek na południe: u nas i w Europie środkowej wzięte pod mniej lub więcej surową ochronę prawa, nie są one narażone na zbytek tępienia; stosunki jednak zmieniają się zupełnie, gdy dostaną się do Europy południowej. We Włoszech ptaki śpiewające nie tylko nie zostają pod opieką prawa, ale przeciwnie prawo pozwala najlegalniej (a przynajmniej pozwalało jeszcze parę lat temu) na najbardziej masowe ich mordowanie. Polowanie ze strzelbą na słowiki, skowronki i inne ptaki jest tam tak samo ulegalizowane, jak u nas na przepiórki lub kuropatwy, a łapanie ich całemi gromadami w sieci

lub na lep jest zjawiskiem powszechnie. Brak innej zwierzyny, niegdyś tak obfitej, gdy było więcej lasów, Włosi wynagradzają sobie polowaniem na ptaki śpiewające.

Na mniejszą skalę, ale równie zgubnem dla przyrody okazuje się nieraz zbyt namiętne kolekcjonowanie, zbyt silna chęć robienia zbiorów bez względu na to, iż każdy okaz ładniej wygląda i większe robi wrażenie żywy w naturze, niż martwy w muzeum lub zielniku.

U nas co prawda kolekcjonowanie zwierząt i roślin nie jest jeszcze tak pospolite, żeby aż trzeba było je hamować, nie zaszkodzi jednak ostrzedz przed pewną bezmyślnością i w tym kierunku. A więc przede wszystkim nie należy zbierać jedynie dla samej przyjemności zbierania, bez względu na to, czy potrzebujemy naprawdę danego okazu; następnie należy być bardzo ostrożnym przy zbieraniu rzadkich gatunków, a właśnie główną wadą wszystkich zbieraczy jest ugania się za rzadkimi okazami: nie pragną oni posiadać kompletnego zbioru miejscowej fauny lub flory, bardzo często nie zwracają nawet wcale uwagi na gatunki pospolite, nie zbierają ich zupełnie — choć one przede wszystkim powinny stanowić podstawę zbiorów — a natomiast uganiają się zajadle za rzadkościami, których posiadanie stanowi główny punkt ich dumy.

I to jednak ostatecznie nie byłoby jeszcze tak karygodne, gdyby zbieracz liczył się z faktem rzadkości danej rośliny lub zwierzęcia i nie dążył do zebrania wszystkich okazów, jakie mu się trafią, gdyby pamiętał zawsze o tem, że trzeba pozostawić coś dla innych na nasienie, gdyż inaczej rzadki gatunek stanie się jeszcze radszym albo i zginie zupełnie, pozostając jedynie jako martwy szczątek w zbiorach.

Słowem, zawsze i wszędzie przy korzystaniu z darów przyrody, czy to dla potrzeby, czy dla nauki, czy wreszcie tylko dla przyjemności, należy pamiętać o tem, żeby nie robić tego bezmyślnie, żeby używać ich tak, aby to nie groziło zupełnem wytępieniem danych roślin i zwierząt.

Dla gatunków pożytecznych sprawa stoi znacznie lepiej, człowiek bowiem nauczony smutnem doświadczeniem, jak łatwo zniszczyć jakieś rośliny lub zwierzęta w pewnej okolicy, ale jak potem trudno zaprowadzić je na nowo, sam skrępował własną działalność różnymi zakazami, sam położył granicę temu niszczeniu. We wszystkich prawie krajach cywilizowanych obowiązują mniej lub więcej ostre prawa leśne, łowieckie, rybackie i inne, biorące pod ochronę lasy, ptaki owadożerne, zwierzęnę, ryby i inne twory przyrody ożywionej, które mają praktyczne znaczenie dla ludzi i których zniknięcie groziłoby ich dobrobytowi.

Gorzej stoi sprawa gatunków, nie przynoszących namacalnej albo nawet zgoła żadnej korzyści, a jednak zasługujących na ochronę ze względu na to, iż stanowią składową część przyrody jakiejś miejscowości, iż przyczyniają się do jej ozdobienia, iż bez nich straciłaby ona dużo ze swego uroku, z malow-

niczości, wreszcie, iż są ciekawymi i godnymi uwagi zabytkami dawnej przyrody, żywymi dowodami, jak wyglądała ona dawniej.

Wprawdzie i tutaj zrobiono już nieco: prawo wzięło pod ochronę żubra w Białowieży, bobry w lasach mińskich, świstaki i kozice w Tatrach, kozły skalne w Alpach itp. Stany Zjednoczone Ameryki Północnej przechowują Park Narodowy nad Yellowstonem, jako ciekawy zbytek dawnej przyrody; w Niemczech zaczęła się żywa akcja, mająca na celu oddzielanie i zachowywanie w możliwie niezmiennym stanie znacznych obszarów leśnych, wrzosowisk, ba! nawet bagien i torfowisk, jako żywych muzeów, gdzie lepiej i dokładniej można się zapoznać z przyrodą, niż w najstarszej urzędzonych zbiorach; prawo pruskie z 2 czerwca 1902 r. surowo zabrania umieszczania reklam i anonsów w pewnych miejscowościach, żeby nie psuć nimi malowniczości i uroku krajobrazów, co niestety tak często się zdarza zwłaszcza w Ameryce; zarówno rządy, jak i osoby prywatne starają się otoczyć i ochronić od zagłady stare kilkuwiekowe drzewa.

Ale wszystkiego tego jeszcze nie dosyć; poczucie piękna przyrody i jej znajomość, wzięcie się w nią i jej umiowanie — nie przeniknęły jeszcze tak ludzi, aby pamiętali oni zawsze i wszędzie o potrzebie i obowiązku ochrony jej zabytków, aby umieli od czasu do czasu poświęcić pożyteczne, to jest własny interes, dla piękna, wrzec się pewnych korzyści materialnych dla zachowania w całości pierwotnej malowniczej szaty przyrody.

Niestety, to poczucie jest jeszcze bardzo słabo rozwinięte, i przy zetknięciu się z przyrodą, człowiek myśli zawsze przede wszystkim o pożytecznem, a potem dopiero o pięknem. Słuszne to jest poniekąd, bo bez pożytecznego nie można by było żyć, ale i bez pięknego, bez tych uroków i tych odświeżających, podniosłych wrażeń, których źródłem jest natura, również nie byłoby dobrze. Pamiętajmy o tem zawsze, a przekonamy się, iż niejednokrotnie bez wielkich strat można podporządkować pożyteczne pięknemu i niejedną zabytek przyrody ochronić od zagłady tam, gdzie w pierwszej chwili zniszczenie jego wydawało się rzeczą konieczną.

Zaczyna to już nawet powoli wchodzić w życie. Do niedawna przy przeprowadzaniu różnych technicznych robót zwracano jedynie uwagę na pomniki historyczne i starano się o to, aby ich nie uszkodzić. Obecnie niejednokrotnie bierze się już pod uwagę i zabytki przyrody, uwzględnia się je przy wytyczaniu linii kolejowych, przy melioracjach rolnych, w gospodarstwach leśnych itp. Człowiek, przy korzystaniu z przyrody, zaczyna dbać i o to, aby ją zachować w możliwie pięknym i świetnym stanie, aby nie uszkodzić jej wdzięków technicznymi urządzeniami.

Z takich dążeń ostatnich czasów wypada zanotować między innymi uwieńczone pompnym skutkiem staranie jednego z czeskich klubów turystycznych w sprawie zachowania i ochrony groty w Czechach północnych, zwanej „piekielną otchłanią”,

a zagrożonej tem, iż było niej miał pójść tor koleje wy, co grocie zupełnem zniszczeniem albo, co najmniej, znacznem zeszpeceniem groziło. Piękno uzyskało tu przewagę nad pożytecznem, no i trzeba przyznać — bez szkody dla ludzi.

Zamiatowanie do przyrody i dążność do jej ochrony zaczyna się budzić i u nas: rozmaite związki przyjaciół drzewek, dbające o zadrzewianie naszych dróg i o wzbudzenie zamiatowania do drzew, ogródki dziecinne po miastach, powstanie i rozwój Towarzystwa Krajoznawczego w Królestwie, starania czynione przez Towarzystwo przyrodników imienia Kopernika w Galicyi — wszystko to są objawy bardzo pocieszające, wskazujące niezbitcie, że i u nas sprawa ta weszła na dobrą drogę i coraz bardziej rozwijać się będzie.

Trzeba tylko, aby jak najwięcej ludzi zdało sobie sprawę ze znaczenia tych zabytków przyrody i z potrzeby ich ochrony; trzeba aby w tem ochranianiu przyrody wziął udział każdy wedle sił i możliwości; w każdym niemal zabytku kraju naszego znajduje się coś godnego uwagi i zasługującego na zachowanie — czy wyjątkowo ciekawe stare drzewo, czy rzadki ginący gatunek. Cechą takich ginących gatunków jest to, iż znajdują się nieraz tylko w pewnych okolicach i tam właśnie należy postarać się o ich zachowanie.

Ale do tego potrzebna jest dokładna znajomość przyrody w ogóle, a takich jej rzadkich zabytków w szczególności. Uczmy się więc poznawać ją z jednej strony, a z drugiej spisujemy, notujemy, gdzie jest coś ciekawego i godnego uwagi: gdy zaś poznamy te skarby naszej przyrody, łatwiej i chętniej, a skutecz-

niej zarazem będziemy mogli zająć się ich ochroną i zachowaniem dla przyszłych pokoleń.

Redakcyja „Ziemi” chętnie udzieli miejsca na łamach swego tygodnika wszystkim, którzy zechcą nadesłać jaki opis boru z fotografią ciekawych zabytków przyrody ze swej okolicy. Koniecznym zaś jest zbieranie takich wiadomości ze wszystkich stron kraju naszego, i tylko wspólnemi siłami możemy dojść do dokładnego poznania, gdzie i co mamy godnego uwagi pod tym względem.

Nie będzie to zresztą rzecz zupełnie nowa. Akcye w tym kierunku podjęło już przed dwoma przeszłymi laty Towarzystwo przyrodników imienia Kopernika we Lwowie, ogłosiwszy (w miesięczniku „Kosmos” z roku 1907, str.484) odezwę w sprawie ochrony zabytków przyrodniczych w kraju i dołączywszy do niej odpowiedni kwestyonaryusz.

Nie od rzeczy może będzie zakończyć obecny artykuł powtórzeniem przewodniej myśli tej odezwę:

„Od zraty ratować zabytki przyrodnicze kraju jest obowiązkiem naszym wobec pokoleń przyszłych. Nieświadomą często ręką zniszczono z nich bardzo wiele, pozostałe należy chronić, jako przedmioty pouczające o tem, jak wyglądała dawniej naturalna szata ziemi ojczystej. W wielu razach świadomość o tem, że przedmiot jest uwagi i zachowania godzien, ochroni go przy pomocy ludzi chętnych od zniszczenia. Takimi są stare, osobliwe lub rzadkie i ginące obecnie drzewa i rośliny, ginące rzadkie ssaki lub ptaki, geologicznie ciekawe lub w skamielinny bogate skały, osobliwe źródła lub wodospady, pięknością położenia wyjątkowe miejsca”.

B. Dyakowski

Bór Łysogórski

(„Ziemia” 1910, nr 33)

Z pomiędzy cichych i sennych opłotków Nowej Słupi pnie się w zakosy droga ku Łysej Górze. Z daleka, z rynku, wzniesienie wydaje się łagodne, ale tutaj, kiedy tętna bić w skroniach zaczną, nogi omdlewają, a rzęsisty pot oczy zalewa, nabiera się rychło zgola odmiennego o tej łagodności przekonania. Zwłaszcza, kiedy w taki bezwietrzny, upalny dzień letni nagie, bezdrzewne zbocze zalewają potoki niemilosierznego słońca.

Cisza tu już zresztą i spokój, nie pozbawione jakiegoś przedsmaku dzikości. Od miasta ciągną się do stóp góry małe, skromne poletka, obsiane zbożem, gdzieśindziej przerwane rozmięklą łączką, gdzie indziej zasiane gruzem, który się sypie od szczytu. Na granicy między polami i borem gruz ten przechodzi w potężne zwały skał, ciemne, mchem i krzakami obrosłe, groźne, jak resztki szańca, który niegdyś w piekielnem natarciu jakieś tytaniczne siły zburzyły.

Z boku tuż u wstępu do lasu, sterczy okaleczony posąg słynnego pielgrzyma, co się raz na sto lat ma o ziarno maku naprzód ku klasztorowi posuwać, a kiedy dojdzie, nastanie dzień sądu. W to kryształowało jasne przedpołudnie, kiedy w przemocnych uściskach słońca ziemia jakby omdlewa z roskoszy i niemocy, kiedy ze zbiegającego nieba nawet ptak chętnie przypada ku ziemi i nie słyhać nic, jeno z cicha przelewający się brzęk rojów muszek, ten potworny obecnie pątnik wznosi swoją straszliwie okaleczoną twarz ku górze wzywając pomsty czy miłosierdzia, skarżąc się jękiem stworzeń, które z cichej zadumy brutalnie wyrwano, którym wiekuiszego spokoju już nikt i nic nie powróci.

A tuż za nim, jakby go chciał wziąć w swoje objęcia, stoi wielką i ciemną ścianą bór. Na pierwszy rzut oka, idzie od tej nieprzebitej czerni prawie lęk. Kontrast między nieobjętym okiem, wzorzystym kobiercem pól i łąk, jaki leży pod nami, i tym głuchym



Gołoborze. Zdjęcie z „Ziemi” 1910, nr 33. Fot. Mikołaj Wisznicki.

i ciemnym borem jest tak mocny, żeby nawet najbardziej w myślach zatopionego wędrowca obudził z zadumy. Tam, na dole, cały przepych i cały wykwiłtonów przelewających się łagodnie jeden w drugi, miękkich, stonowanych oddaleniem i rozpylonem w lekkich oparach światłem — tu jeden tylko ton, ale tak mocny, tak surowy, tak przygłuszający wszystko, jak huk dzwonu wieżowego, od którego trzęsą się i drżą mury i który kryje, głuszy i wbija w ziemię świegotanie małych dzwoneczków. Z góry leje się, jak przedtem, potop światła i żaru, ale przez te potężne konary na ziemię spada już tylko delikatny, złocisty deszcz światełek, kładących się lekko na ciemne i miękkie mchy. Dopiero kiedy oczy rozpatrzą się w mroku, czuje się, że ta siła, która z daleka wydawała się taka groźna i mroczna, jest nie tylko piękna, ale i dobrotliwa. Od wilgotnej pomimo skwaru ziemi idzie chłód, górą chodzi po wyniosłych konarach drzew ciężły i cichy szmer, któremu jak słodka fletnia towarzyszy plusk prześlizgującego się dołem z pośpiechem strumyka. Wielkie, ale nagie, istotnie groźne turnie i wirchy są ponad wszelkie miary ludzkie wyniosłe, mają w sobie coś z małostkowością i cierpieniem człowieka niewspółmiernego, coś majestatycznie ponad nasze dla nich uczucia wzgardliwego. Wielkie wody, nawet wtedy gdy leżą sennie, bezwładne, zawsze mają coś w swojej zwod-

niczej piękności zdradliwego, coś co napełnia nieufnością, co pcha do nich a powstrzymuje. Ale taki stary, odwieczny bór jest nie tylko mocny, ale łaskawy i bliski, daje się nie tylko podziwiać i miłować, ale i sam jakby przygarnia do siebie. Zwłaszcza kiedy iść w jego głąb, kiedy zacząć wydzielać z ogólnego wrażenia poszczególne nastroje.

Bo i tu, chociaż olbrzymią większość drzew stanowią jodły, z mniejszą znacznie domieszką buków, modrzewi i dębów, różnorodność obrazów leśnych, a zwłaszcza nastrojów, jest wielka. Oto ku wschodowi od wejścia od Nowej Słupi wtula się jak między uściski dwóch potężnych ramion, mała, śmiejąca się, światłem zalana polanka. Nad nią stromo ku górze dźwiga się ściana górską gęstym grzebieniem jodeł porośla. Ale jakich jodeł! Te, któreśmy widzieli u wejścia, są przy nich niczem i widocznie tu jest najstarsza, nietknięta od wieków siekierą poręba. Jak w niebo bijący słup wody, tryskają w górę gonne pnie niepokalanie równe, zawrotnie śmigłe, zuchwał. Czasem rozbiegają się, dając miejsce u stóp swych krzakom i skałom, czasem zbijają się w ciasną gromadkę i są wtedy jak jakiś wzniósły, grzmiący akord, który wieczyście bije od nizin wzwyż. Mimo woli ręka sięga do czapki, jakby się weszło do cudnej kaplicy gotyckiej, gdzie mistyczny, zielonkawo-złotawy półmrok sączy się z wysokich okien na posa-



Fragment Boru Łysogórskiego. Zdjęcie z „Ziemi” 1910, nr 33.

dzkę. Mimo woli też zwalnia się kroku, zwłaszcza, że drogę coraz częściej zagradzają poszarpane złomy skał ostrych, obślizgłych. Warto jednak dojść do samego szczytu, bo widok, jaki się stamtąd roztacza, na tyły pasma Opatowskiego, na kraniec Łysej, na wciśniętą między te dwie wyniosłości, otoczoną dookoła lasem wioskę — Trzciankę — to znowu jeden z piękniejszych widoków, jeden z tych niewielu, które nam wieki ubiegłe zostawiły na pokaz.

W ogóle znaleźć w przeludnionem Królestwie taki kątek cichy, takie odludzie, jak tu w tym boru, nie jest rzeczą łatwą. Można iść godzinami, można iść dzień cały bez mała nie spotkawszy żywej duszy przed sobą, nie widząc nic, jeno mchy i skały u stóp i lazorowy sklep nieba nad sobą. Tak było do niedawna przynajmniej, bo dziś bezwzględne, bezcelowe — czy może właśnie celowe — cięcie poręb wybija w tym, nieprzebitym murze szczyby dotkliwe, haniebne. O uwzględnianiu piękności krajobrazowych, o oszczędzaniu wąskich bodajby pasków zieleni dla zakrycia i uratowania widoku wzdłuż drogi, którą rokrocznie chodzą setki turystów, niema i zdaje się nie może być mowy. Coraz też trudniej wynaleźć jakiś głuchy, całkiem w sobie zamknięty ostępik, choć ostatecznie jest ich jeszcze po dziś dzień dość sporo.

Niektóre leżą nawet blisko od zwykłego szlaku,

którym turyści z Nowej Słupi do Ś — tej Katarzyny przechodzą, i jeżeli nie są dość odwiedzane, to dlatego, że na zwykły gust mało w nich jest pociągającego. Do takich miejsc należy wejście do klasztoru świętokrzyskiego od Słupi nie drogą, ale wprost przez las od strony północnej. Dołem bronią dostępu grzędzawiska, wyżej ścieżki giną w rumowisku, na którym nietrudno choćby i kark skrócić. To gołoborza, słynne zasy kamieni, którym Łysogóry nazwę swą zawdzięczają. Istotnie mroczno tu jakoś i niemilo, nawet w najpiękniejsze dni letnie. Ziemię zalega gruby pokład kamieni, wszelkich wielkości, wszelkiego wyglądu. Czasem to wygląda jak zwaliska przedwiecznego zamku, czasem jak grad kamienny, którym jakieś złe bóstwo w napadzie gniewu wbiło las w ziemię. Tylko, że las nie ustępuje, że pomimo wszystko młode drzewka wydzierają się spod kamiennego płaszcza i jest w tej rozpaczliwej walce jakaś niepojęta zaciekłość i groza, zwłaszcza gdy stare po bokach stojące jodły pochylają się w podmuchu wiatru i wydają z siebie ten dziwny, właściwy im suchy klekot, jakby stękanie, jakby jęk głuchy.

Jest też tuż obok „drogi królewskiej” miejsce, którego, o ile wiem, nikt prawie nie chodzi odwiedzać. Dołem krze gęste, górą jak wszędzie kolumny jodeł. Wśród nich na łagodnym zboczku wzgórze krzyż wielki, usypany z kamieni, do kilkudziesięciu

kroków wzdłuż większego ramienia mający. Co to? Kto tu leży, kto sypał te kamienie, dziś już gęsto krzakami przerosłe. Nikt z miejscowych nie umiał dać odpowiedzi, choć niewątpliwie krzyż był ręką ludzką sypany i w nienazbyt odległych czasach.

Kiedym tam był po raz pierwszy, był wietrzny krwawy zachód po słońcu — na tle tej pożogi mrocznie i posępnie tkwiły potężne pnie jodeł, stojących jak straż nad rozciągniętym na mchach leśnych rycezu—olbrzymie. Po niebie gnały jak tabuny rozszalałych rumaków rdzawe, rozwichrzone obłoki, las grał jakąś pieśń smutną, niezapomnianą, z każdej szpileczki jodeł, z każdego listka mchu zdawała się sączyć krew żywa, stygnąca...

Z ciemnej, sobie samej tajonej pomroki wstają w zmaconej duszy jakieś mary, jakieś widziadła. Jak żeby się odwalila z głuchym łoskotem płyta grobo-

wa, jak żeby zgrzytnęły zardzewiałe, z dawien dawna nieotwierane wrznięcie...

A tuż obok i klasztor, od otaczającego go kołem boru ciemny, prawie ponury, od dogasającej pożogi chmur krwawy, niemal straszny. Ktoś z pustoty uderzył w wielki, prastary dzwon. Od potężnego dźwięku drży, zda się, cała góra kamienna, pręży się i rozpręża, jak ktoś, co śni zły sen...

Ziemia tu jest od wieków przesiąknięta nie tylko chwałą, ale bólem i krwią. W to świętością i bogactwami słynące miejsce były jedna za drugą fale najeźdźców, coraz gorsze, coraz groźniejsze, tatarskie, litewskie, szwedzkie... Aż nie zostało nic, jeno pamięć o nich, te trochę murów i bór.

St. Thugutt.

Tur i żubr

(„Ziemia” 1912, nr 11)

Na pytanie, gdzie niegdyś przebywały u nas tury i żubry, można najsadziej odpowiedzieć na podstawie wzmianek w najrozmaitszych źródłach historycznych, ale niewątpliwie także na podstawie nazw miejscowych, które swe imiona właśnie pobytowi tych zwierząt zawdzięczają. Rzecz naturalna, że nie wszędzie, gdzie te zwierzęta przebywały, i nazwa po nich została, gdyż nazwa miejscowa może mieć także inne źródło, więc nazwy miejscowe nie dają całkowitego obrazu rozsiedlenia u nas niegdyś tych zwierząt, stanowią jednak pod tym względem bardzo ważne wskazówki, ważne zwłaszcza w wypadkach, kiedy zgoła brakuje innych, niekoniecznie zresztą pewniejszych, gdyż i wskazówki wynikające z nazw miejscowych, mogą być zarówno pewne, jak wszelkie inne, są one bowiem także faktami historycznymi, a nieraz sięgającymi w tak daleką przeszłość, że prócz wykopalisk, innych wskazówek historycznych z tych czasów nie posiadamy.

Nim przystąpimy do nazw miejscowych związanych z pobytom tura i żubra, uczynimy wprawdzie uwagę co do tych wyrazów. Wyraz tur brzmi dzisiaj tak samo, jak brzmiał przed wiekami, ale z żubrem rzecz ma się inaczej. W języku starosłowiańskim zwierzę ten zowie się ząbr, nazwa tedy jego, jak to gramatykom dobrze wiadomo, powinna po polsku brzmieć ząbrz¹, w drugim przypadku zębrza, jak dąb, ząb, uprząż brzmią w drugim przypadku zęba, dęba, uprzęży. I tak też przed wiekami nazywaliśmy to zwierzę, czego niezbitym dowodem starożytnie nazwy, nasze miejscowe, jak Ząbrz (Zambrz), Ząbrza (Zambrza) i Zębrza (Zambrza), Ząbrze (Zambrze) i Zębrze (Zembrze) itd. Po rusku nazwa tego zwierzęcia powinna brzmieć żubr i tak też brzmiała

rzeczywiście, i z tego to właśnie języka pochodzi nasz żubr, przekreślony nieco, gdyż nazwa ruska ludowa żubr nam się wydała ludową mazurską, więc początkowo z poczęliśmy wymawiać jak ż. Dlaczego zaś nasza prastara forma ząbrz zaginęła, a miejsce jej zajęła ruska, łatwo zrozumieć. Gdy u nas żubry były już rzadkością, a wreszcie zupełnie zniknęły, było ich jeszcze pod dostatkiem na Litwie i Rusi, a ponieważ tam je żubrami nazywano, więc i my poczęliśmy je odtąd tak nazywać, przerobiwszy tylko nieco po swojemu nazwę obcą.

Tę uwagę uważaliśmy za konieczną, gdyż inaczej dla niewtajemniczonych w te sprawy byłoby rzeczą niezrozumiałą, dlaczego nazwy takie, jak Ząbrz, Zębrza itp. mają świadczyć o pobycie w tych stronach żubra.

A teraz wracamy do rzeczy.

Nazwy miejscowe, pochodzące od wyrazów tur i żubr można podzielić na trzy kategorie: a), takie o których stanowczo wiemy, że przyczyną ich powstania był pobyt w tych miejscach tura i żubra; b) na takie, których powstanie można sobie inaczej tłómaczyć, i wreszcie c) na takie, których pierwotne znaczenie jest niejasne.

a) Nazwy kategorii pierwszej. Tu należą: 1) nazwy pierwotnie rzeczownikowe, których mamy kilka odmian. Są najpierw takie, które stanowi sama nazwa zwierzęcia w formie zwykłej, w zdrobieniu lub w liczbie mnogiej. Takiemi są np. miejscowości, zwane Tur (tak zwie się np. wieś w pow. łęczyckim,

¹ Brzmiała także ząbr (2-gi przyp. zębra), jak pouczają nazwy miejscowe: Zambrów, Ząbrowo

jedrzewskim, stopnickim jezioro koło Bydgoszczy itd.), miejscowości, zwane Zubr (np. jezioro w suwalskim); miejscowości Thurik (wś. w hr. liptowskim, po polsku brzmiałaby Turzyk, zdrobnienie od tur); miejscowości, zwane Turek (w gub. kaliskiej, wś. w pow. węgrowskim; innego rodzaju zdrobnienie wyrazu tur); miejscowość Żubrzyk (wś. w pow. sądeckim); zwane Tury (wś. nad Wartą w pow. kolskim, wś. w pow. wołkowyskim itd.); miejscowości, zwane Żubry (wś. w grodzieńskim, szawelskim itd.). Dalej należą tutaj nazwy, zakończone na —ec. Jak Sosnowiec jest miejscowość, gdzie niegdyś były sosny; Bukowiec, gdzie niegdyś rosły buki; Kamieniec, gdzie teren był kamienisty; Dzikowiec, gdzie w większej ilości spotykało się dziki: tak Turzec (przysiółek Gawłowa Starego w pow. bocheńskim, wś. w lukowskim), Turowiec (wś. w włoszczowskim), Ząbrzec² (Ząbrzec Dolny i Górny, wś. w kartuskim na Kaszubach), Zubrzec (wś. w buczackim), są miejscowości, gdzie niegdyś w większej ilości przebywały tury i żubry. Takie samo znaczenie mają nazwy, jak Turówka (wś. w augustowskim), Turówko (wś. w mławskim), Żubrówka (wś. w wieluńskim, suwalskim itd.). 2) Nazwy przymiotnikowe. Od rzeczowników tur i żąbrz formowano przymiotniki w różny sposób, więc też i nazwy tego rodzaju w różnych pojawiają się postaciach. Brzmiały niegdyś te przymiotniki: Turz(y) — turza — turze, ząbrz(y), ząbrza, zębrza — ząbrze, zębrze, więc też mamy miejscowości, jak Turza (wś. w będzińskim, lipnowskim, mławskim, kolbuszowskim, gorlickim, wągrowieckim, niborskim, rybnickim itd.); jak Ząbrz (osada, wchodząca w w. XVI w skład dóbr pacanowskich), jak Zembrza (os. w pow. krakowskim), Zembrza (bór na obszarze Pogwizdowa w pow. rzeszowskim), Ząbrza (bór koło Dzikowa w pow. kolbuszowskim), Zubrza (dwie kolonie w pow. będzińskim), jak Turze (Stare, wś. w bocheńskim), Turze (wś. w ostrzeszowskim, jezioro w starogardzkim, wś. w radzyńskim itd.), jak Zambrze (wś. w kartuskim), Zembrze (wś. w brodnickim). Do wyrażen tych dodawano niegdyś wyrażne rzeczowniki, jak okolica, łąka, góra, knieja, miejsce, pole, skąd jeszcze nazwy miejscowe, jak Turza Łąka (wś. w szczuczynskim), jak Turza Góra (wzgórze na zachodnich kresach Wielkopolski), jak Turze Pole (wś. w pow. brzeszowskim, uroczyisko pod Włodzimierzem); ale wyrazy: okolica, knieja, łąka, góra, miejsce, pole, jako w danej okolicy łatwo domyślne, opuszczano i tym sposobem powstały nazwy przymiotnikowe, jak Turza, Ząbrza, Turze, Ząbrze, które z biegiem czasu stały się rzeczownikami. Od rzeczowników tur i żąbrz (ząbr) brzmiały przymiotniki: turów — turowa — turowo, ząbrow (zembrów), zębrow (zembrów) — ząbrowa, zębrowa — ząbrowo, zębrowo, stąd nazwy miejscowe, jak Turów (wś. w radzyńskim, wieluńskim, częstochowskim itd.), jak Turowo (wś. w plockim, wrocławskim, ciechanowskim, mławskim, szamotulskim, ko-

scierskim, niborskim, szamotulskim, kościerskim, niborskim, jańsborskim, margrabowskim itd.), jak Ząbrowo (wś. w pow. suskim), jak Zambrowo albo Zambrów (m. nad rz. Jabłonką). Przy nazwach, jak Turów, domyślano się pierwotnie wyrazów bór, las, przy nazwach, jak Turowo wyrazów pole, miejsce, wyrazów, których jako domyślnych nie używano, więc nazwami zostały przymiotniki, które z czasem przybrały znaczenie rzeczowników. To samo dotyczy przymiotników, jak turzn(y) — turzna — turzno i turn(y) — turna — turno, tudzież nazw miejscowych, z nich powstałych, jak: Turznica (od Turna uformowano Turznica, wś. w ostródzkim), Turzno (wś. w nieszawskim, folwark w radomskim, dobra między Toruniem a Jabłonowem), Turna (wś. w węgrowskim, wś. w włodawskim itd.).

b) Nazwy kategorii drugiej. Do nazw pochodzących od rzeczowników tur i żubr, lecz niekoniecznie stąd powstałych, że tam przebywały tury i żubry, zaliczamy następujące: 1) Gdyby się ktoś nazywał Tur lub Żubr, to jego dwóch żwałby się Turów, Żubrów a jego miasto Turowo, żubrowo, więc już wyżej wymienione nazwy Turowo, Żąbrowo, można sobie i tak tłumaczyć. 2) Mazurowie zamiast tur mówili turon (formacya to taka sama, jak cisoń, biedroń itp. nazwy zwierzęce), potem toroń, i ta forma utrzymała się po dziś dzień (w gwarach mieszczkańskich brzmi to toruń, gdyż tu i koń brzmi kuń, ale w ludowych wyraźnie: toroń). Nie może ulegać najmniejszej wątpliwości, że w związku z tym wyrazem pozostaje i nazwa miasta Torunia, która w dokumentach brzmi to Thoron (1241), to Torun (1233). Pytanie tylko, jak ją rozumieć, czy jako pochodzącą od nazwiska osoby zwanej Toroń lub Toruń, czy też od zwierzęcia. W jednym i drugim razie byłby to przymiotnik (dawniej toruń — torunia — torunie, dziś brzmiałyby toruni, torunia — torunie), tylko w pierwszym wypadku z domyślnym wyrazem dwóch, gród, w drugim bór, las. 3) Samica zubrza zwała się niezawodnie zębryca, w liczbie mnogiej zębryce, czyli w dawnej formie wyrazu zębryca, w l.m. zębryce, stąd niezawodnie nazwy, jak Zambrzyce (wś. w pow. ostrołęckim), Zembrzyce (okolica szlachecka w łomżyńskim), Zembrzyce (wś. w pow. włodawskim).

Lecz jak ludzie Bogumiła, Domosława, Wierzchosława zwali się Bogumiłowice, Domosławice, Wierzchosławice, stąd nazwy miejscowe (wsie) tego brzmienia w Galicyi i gdzie indziej, tak gdyby się kto nazywał Ząbrz, to jego ludzie zwaliby się Zębryce, więc pochodzenie nazw tego brzmienia może być i takie.

Którą ewentualność w tych wypadkach przyjąć za fakt, rozstrzygnąć mogłyby stanowczo tylko źródła historyczne, gdy jednak się zważy, że te Turowy, Torunie, Zębryce się znajdują w miejscowościach, gdzie niegdyś tury i żubry rzeczywiście przebywały, to w braku źródeł historycznych tę właśnie ewentualność jako najprawdopodobniejszą przyjąć należy.

c) Nazwy kategorii trzeciej. Do nazw, których objaśnić nie umiemy, a które może pozostają w ja-

² Piszą Ząbrzc

kimś związku z dawnymi siedliskami tura, zaliczamy takie, jak Turwia, Turew (wś. w pow.kościąńskim), Turbia (wś. w pow.tarnobrzescim), Turobin (wś. w pow. łomżyńskim) itp.

Lecz już na podstawie nazw, których pochodzenie od pobytu w tych stronach tura i żubra nie może ulegać żadnej wątpliwości, możemy stanowczo stwierdzić, że zwierzęta te nie były wcale rzadkością na całym obszarze ziem rdzennie polskich.

Były niegdyś na Śląsku w pow. rybnickim (wś. Turza); w dzisiejszej Galicyi w pow. krakowskim (Zembrza), wadowickim (Zembrzyce), sandomierskim (Zubrzyk), bocheńskim (Turze Stare), kolbuszowskim (Turza, Ząbrza), rzeszowskim (Zembrza), gorlickim (Turza), dobromilskim (Turze), brzozowskim (Turze), lwowskim (Zubrza) itd.; w Poznańskiem, w zachodniej jego części wspomniana przez Długosza Turza Góra, w pow. wągrowieckim (Turza), w ostrzeszowskim (Turze), w średzkim (Turek), w szubińskim (Tur), w łęczyckim (Tur). W Prusach Zachodnich (na Kaszubach) i na Mazurach Pruskich, w pow. kościerskim (Turowo), kartuzkim (Ząbrze, Zambrze), chojnickim (Turowiec), tczewskim

(Turze), brodnickim (Zembrze), starogardzkim (Turze), margrabowskim (Turowo), niborskim (Turza), toruńskim (Toruń, Turzno) itd.

W Królestwie Polskiem w pow. wrocławskim (Turowo), plockim (Turów), ciechanowskim (Turów), rypińskim (Zembrzyca), mławskim (Torów, Turza), lipnowskim (Turze, kilka miejsc), przasnyskim (Zembrzus³), nieszawskim (Turzno), w szczuczyńskim (Turza), łomżyńskim (Zambrów, Zambrzyce), ostrołęckim (Zambrzyce), augustowskim (Turówka), ostrowskim (Turek), jędrzejowskim (Tur), stopnickim (Tur), częstochowskim (Turów), radzymińskim (Turze), włoszczowskim (Zambrzec), wieluńskim (Żubrówka), chełmskim (Turek, Turowiec), łukowskim (Turzec), radzyńskim (Turna) itd.

Nazwy, jak Tur, Turek, Turzyca, Zambrzyca, Zembrzyce, zdają się przypominać czasy, kiedy już w pewnych miejscowościach sztucznie hodowano tury i żubry. Jaka szkoda, że nie zdołano ich ocalić, choć w większych naszych lasach, jak puszcza niepołomska albo sandomierska.

S. Matusiak